ILUSTROWANY
GŁOS NARODU

z dnia 20. Września 1902 r.

T. M. DOSTOJEWSKI.

BIAŁE NOCE.

Noc czwarta. (Dokończenie).

I nie wiedzieliśmy o czem mówić, śmialiśmy się, płakali, mówiliśmy tysiące wyrazów bez związku i bez myśli, to chodziliśmy po chodniku, to naraz zbaczaliśmy na środek ulicy, potem przystawaliśmy i znów skręcali ku bulwarowi, jak dzieci.

— Żyję teraz samotny, Nastienka — mówiłem — a jutro... Naturalnie, Nastienka, nie jestem zamożny, tysiąc dwieście całej pensji, ale to nic...

— Rozumie się; babcia ma emeryturę, nie będzie nam więc ciężarem. Bo babcię trzeba wziąć.

— Bezwarunkowo babcię trzeba wziąć... Tylko... Matrena!

— Ach, a nasza Tekla!

— Matrena dobra kobieta, ma tylko jedną wadę: wyobraźni za grosz Nastienka, ani śladu wyobraźni, ale to nic...

— Wszystko jedno, obiedwie mogą być, ale jutro zaraz niech się pan do nas sprowadza...

Jakto? Do pani? Dobrze.

Tak jest, najmie pan facjatę; na górze mamy facjatę; wolna teraz; była lokatorka staruszka, obywatelka, ale wyjechała i wiem, że babcia chce młodego lokatora; pytam się: po co młodego? A babcia mówi: „bo tak, stara już jestem; tylko nie myśl, Nastienka, że cię chcę za niego wydać za mąż“. Domyśliłam się więc, że dlatego...

— Ach, Nastienka!

I roześmialiśmy się oboje.

— No dość już, dość. A gdzie pan mieszka? Zapomniałam.

— Przy moście, w domu Baranikowa.

— Taki duży dom?

— Tak, taki duży dom.

— A wiem, ładny dom. Ale niech się pan z niego wyprowadzi i przyjeżdża do nas, jak najprędzej...

— Zaraz jutro. Nastienka, jutro; winien jestem tam trochę za mieszkanie, ale to nic... Prędko już pierwszy...

— Wie pan co, ja będę lekcje dawała; sama się nauczę i będę dawała...

— No widzi pani... a ja niedługo będę awansował, Nastienka...

— Więc od jutra pan już nasz lokator?...

— Tak jest — i pojedziemy razem na „Cyrulika sewilskiego“.

— Tak jest, pojedziemy — powiedziała, śmiejąc się — tylko wie pan, lepiej nie na „Cyrulika“. ale na co innego...

— No więc dobrze, na coś innego; naturalnie, że to będzie lepiej, nie zastanowiłem się...

I tak rozmawiając, chodziliśmy jak otumanieni, jakby nieświadomi, co się wokół dzieje. Tośmy się zatrzymywali i długo stali na miejscu, gwarząc, tośmy zabrnęli, Bóg wie gdzie, i znowu śmiech, znowu łzy... To Nastienka zapragnie naraz wracać już do domu, nie śmiem jej zatrzymywać i odprowadzam aż pod dom, a po kwadransie patrzymy: znowu znaleźliśmy się tuż koło naszej ławki na bulwarze. To westchnie i łezka zakręci się w oku; zlęknę się, cały chłodnieję... Ale ona znowu ściska moją ręką i ciągnie znowu chodzić, gadać, mówić...

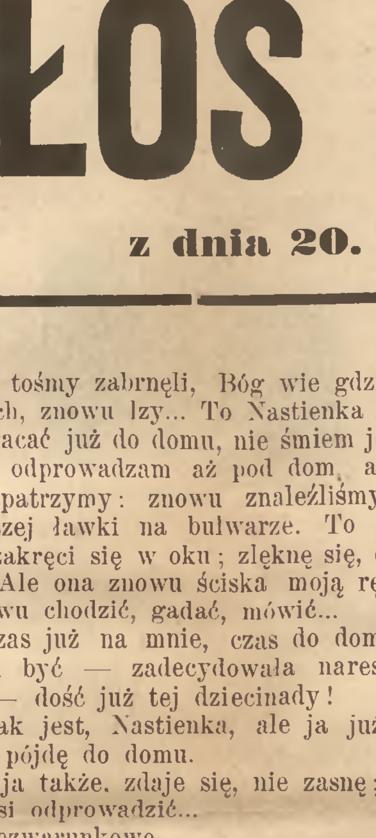
— Czas już na mnie, czas do domu, późno już musi być — zadecydowała nareszcie Nastienka — dość już tej dziecinady!

— Tak jest, Nastienka, ale ja już nie zasnę; nie pójdę do domu.

— I ja także. zdaje się, nie zasnę; ale pan mnie musi odprowadzić...

— Bezwarunkowo.

— Ale teraz już pójdziemy tylko do domu.



Biskup sufragan przemyski, ks. Fiszer.

— Bezwarunkowo.

— Słowo honoru?... Bo muszę kiedyś wrócić do domu!

— Słowo honoru — odpowiedziałem, śmiejąc się.

— No, to chodźmy.

— Chodźmy.

— Na niebo, Nastienka, na niebo popatrzeć! Jaki cudowny będzie jutro dzień, jakie modre niebo, jaki księżyc! Popatrz, Nastienka: ta żółta chmura teraz go słania — o — o! Minęła go już, Nastienka, teraz — teraz!

Ale Nastienka nie patrzyła na chmurę; stała na miejscu, jak wryta; po chwili jakoś lękliwie, szczelnie przytuliła się do mnie. Ręka jej zadrżała w mej ręce; spojrzałem na nią... Jeszcze silniej wsparła się na mnie.

W chwili tej przechodził koło nas jakiś młody człowiek. Naraz zatrzymał się, uważnie nam się przyjrzał — i znów poszedł kilka kroków dalej. Serce mi drgnęło...

— Nastienka — zapytałem zcicha — kto to jest, Nastienka?

— To on — odpowiedziała szeptem, coraz bliżej, coraz bezbronniej przysuwając się do mnie... Ledwie mogłem ustać na nogach.

— Nastienka! Nastienka! Czy to ty? — usłyszeliśmy z tyłu i równocześnie młody człowiek począł się ku nam zbliżać...

Boże! jaki to był ten krzyk! Jak drgnęła! Jak się wyrwała z rąk moich i rzuciła się doń! Stałem i patrzyłem na nich, jak nieżywy. Ale ledwo zdołała podać mu rękę, ledwo rzuciła mu się w objęcia, jak naraz znowu zwróciła się ku mnie, znalazła się tuż obok, jak wiatr, jak błyskawica — i zanim zdołałem sobie uprzytomnić, objęła moją szyję oburącz i mocno, gorąco mnie pocałowała. Następnie bez słowa rzuciła się znów ku niemu, wzięła go za ręce i poprowadziła za sobą.

Długo stałem, patrząc za nimi. Nareszcie zniknęli mi oboje z oczu.

Ranek.

Noce moje skończyły się rankiem. Brzydko było na świecie. Deszcz padał i jękliwie bił w moje szyby; w pokoiku było ciemno, na dworze chmurno. Głowa mi kołowała z bólu; dreszcz jakiś, jakby febra.

— List do ciebie, panoczku, z poczty miejskiej przyniesiono — odezwała się nademną Matrena.

— List! Od kogo? — zerwałem się z krzesła.

— A nie wiem, panoczku, zobacz, może tam stoi, od kogo.

Zerwałem pieczątkę. Od niej!

„O, przebacz mi pan, przebacz“ — pisała mi Nastienka — „na kolanach błagam: przebacz! Oszukałam i siebie i pana. To był sen. przywidzenie... Upadam dziś z bólu, gdy myślę o panu: przebacz!

„Niech mnie pan nie wini, bom pana nie zdradziła i powiedziałam, ze będę pana kochała i kocham bardziej, niż kocham. O, Boże! Żebym mogła kochać was obu! O, gdyby pan był nim!“

— O, gdyby on był panem! — przemknęło mi przez głowę. — Twoje własne słowa, o, Nastienka!

„Bóg świadkiem, czegobym teraz dla pana nie zrobiła! Wiem, że panu teraz ciężko i smutno. Obraziłam pana, ale pan wie, czy można pamiętać obrazę temu, kogo się kocha. A pan mnie kocha!

„Dziękuję! Tak! Dziękuję panu za miłość.., Bo w pamięć moją wcisnęła się jak słodki sen, który się długo po przebudzeniu pamięta; bo wiecznie pamiętać będę to okamgnienie, gdy Pan tak po bratersku odkrył mi swe serce i tak wspaniałomyślnie przyjął w darze moje serce zabite, by je chronić, tulić, leczyć je... Jeżeli Pan mi przebaczy, to pamięć o Panu wzniesie się we mnie do wiecznego, dziękczynnego uczucia, którego nigdy nic nie zgładzi z duszy mej... Troskliwie chronić będę tę pamięć, będę jej wierna, nie zdradzę jej, nie zdradzę swego serca: zanadto jest ono stałe. Wczoraj wszak tak prędko oddało się temu, do kogo należało na wieki.

„Spotkamy się, Pan przyjdzie do nas, pan nas nie porzuci, wiecznie będzie moim przyjacielem, bratem... Gdy mnie Pan ujrzy — Pan poda mi rękę, nieprawdaż? Tak? Poda mi Pan,

Pan mi przebaczył — prawda? Pan kocha mnie, jak „przedtem?“

„O kochaj mnie pan, nie opuszczaj mnie, bo ja tak Pana kocham za to okamgnienie, bom ja godna tej miłości, ja zapracuję na nią... o ty mój druhu jedyny. Na przyszły tydzień ślub mój. Wrócił zakochany, nigdy nie zapomniał o mnie. Pan się nie rozgniewa, żem o nim napisała. Ale ja chcę przyjść do Pana razem z nim; Pan go pokocha — prawda?

„Więc przebacz, pamiętaj i kochaj
Nastienkę“.

Długo czytałem ten list; łzy się pojawiły w oczach. Wreszcie wypadł mi list z ręki, zakryłem twarz.

— Kochanie, kochanie! — zaczęła Matrena.

— Co stara?

— Pajęczynę zmiotłam z powały, teraz się żeń, gości spraszaj, taki salon...

Spojrzałem na Matrenę. Była to jeszcze czerstwa „młoda“ staruszka, nie wiem więc, dlaczego wydała mi się naraz taka zgasła, w zmarszczkach na twarzy, zgarbiona, zgrzybiała... Nie wiem dlaczego, wydało mi się, że i pokój mój zgrzybiał tak samo, jak Matrena, ściany i podłoga zaszargały się, wszystko poszarzało, pajęczyną zaciągnęło się jeszcze więcej. Nie wiem dlaczego, gdym spojrzał w okno, wydało mi się, że dom, stojący naprzeciw, także zgrzybiał i poszarzał, że sztukaterja na kolumnach skruszyła się w gruz, że fryzy poczerniały i popękały, a ciemno-żółte mury zbrunatniały...

Albo promień słoneczny, który przed chwilą wydostał się był z za chmury, na nowo skrył się i wszystko mi tak w oczach zszarzało, albo — i to możliwe — przemknęła przedemną smutna i niepociągająca przyszłość moja: może zobaczyłem siebie samego za piętnaście lat od dnia dzisiejszego, postarzałego, w tym samym pokoju, tak samo samotnego, ciągle z tą samą Matreną, której piętnaście lat nic rozumu nie dorzuciły.

Ale, bym miał pamiętać ci obrazę, Nastienka! Bym miał napędzić słotną chmurę na jasne, przespokojne szczęście twoje! bym miał ci z goryczą to wyrzucać, co się stało, smutek napędzać na twe serce, ranić ukrytem żądłem, zmuszać je do tęsknego bicia w minutę upojeń i szczęścia, bym miał miąć choć jeden z tych cichych kwiatków, które wpleciesz w czarne twoje kędzierze, gdy pójdziesz z nim do ołtarza... O nigdy! nigdy! Niech jasnem będzie twoje niebo, niech jasnym będzie i bez troski twój uśmiech, błogosławioną bądź za tę minutę zacisza i szczęścia, które dałaś i drugiemu, samotnemu, wdzięcznemu sercu!

Boże mój! Cała minuta szczęśliwości! Czyż to mało, czyż nie starczy, choćby na całe życie ludzkie!?

Nasze szkoły średnie.

Krótkie trwanie ostatniej sesji sejmowej nie pozostawiło dość czasu na szczegółowe zajęcie się stanem naszych szkół średnich, przedstawionym w referacie sejmowej komisji szkolnej. Niniejszem postaramy się o rozpatrzenie sprawy tej w oświetleniu zapatrywań i życzeń naszego nauczycielstwa i bezpośrednio interesowanych ojców i opiekunów dziatwy szkolnej.

Uchwalone przez sejmową komisję szkolną rezolucje wzywają rząd:

1) Aby w miarę spodziewanego przybytku ukwalifikowanych sił nauczycielskich, zakładał nowe szkoły realne, a gimnazja najwięcej przepełnione rozdzielał na dwa zakłady.

2) Ażeby się zastanowił nad niezwykłym a jednostronnym napływem młodzieży do gimnazjów w Galicji, i zarówno przez szybsze zakładanie szkół z kierunkiem praktycznym, jakoteż ewentualnie przez inne uregulowanie uprawnień uczniów szkoły takie kończących, zapobiegł szkodliwym skutkom, jakie dla młodzieży kończącej uniwersytet, mógłby wywołać nadmiar kandydatów na ograniczoną liczbę posad w zawodach, wymagających studjów gimnazjalnych — względnie uniwersyteckich.

3) Ażeby naukę religji uczynił przedmiotem egzaminów dojrzałości.

4) Ażeby naukę historji kraju rodzinnego uczynił obowiązkową.

5) Iżby przy szkołach średnich zaprowadził dozór nad zdrowiem uczniów, przez ustanowienie lekarzy szkolnych.

Nie ulega kwestji, że gdyby do powyższych pierwszych dwu rezolucyj się zastosowano, zaradzonoby cokolwiek bezprzykładnemu przepełnieniu naszych szkół średnich, na które słusznie referat komisji, jako na główne złe wskazuje.

Nie byłby to atoli jeszcze środek zupełnie skuteczny, co przyznaje sam referat wyraźnie temi słowy: „Stan rzeczy jest taki, my go nie możemy zmienić, i owszem musimy przewidywać, iż się nie prędko zmieni na lepsze, raczej na gorsze“.

Pesymistyczny ten sąd jest zupełnie ugruntowanym, ale tylko dlatego, ponieważ obecnie podane środki zaradcze nie są wystarczającymi. Zwracamy uwagę na to, iż Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych roztrząsnęło przez szereg lat gruntownie powody przepełnienia naszych szkół średnich i braku nauczycieli ukwalifikowanych. Podało też sposoby, które powoli ale gruntownie zaradziłby mogły istniejącemu złemu. Życzyćby więc należało, aby tak Sejm nasz krajowy jak i delegacja nasza do Rady państwa, uwzględniły także i skutecznie poparły zapatrywania i życzenia towarzystwa, które określając dokładniej żądania już na poprzednich kadencjach przez Sejm krajowy wypowiedziane, dają żądaniom tym praktyczny i konkretny wyraz.

Po dwakroć bowiem już Sejm nasz krajowy domagał się, aby raz wreszcie uchwalono ustawę państwową dla zasad organizacji gimnazjów w Austrji, co należy do kompetencji Rady państwa. Jest to, jak się zdaje, jedyna droga, na której dojśćby można do gruntownego uporządkowania szkolnictwa średniego, gdyby tak pożądana usta-



Prof. GUSTAW STEINGRABER,
Prezes komitetu jubileuszowego Tow. technicznego.

wa zawierala prócz innych punktów także dobrze obmyślane postanowienia, regulujące frekwencję szkół średnich i najwyższych.

Za wielką zasługę poczytać należy naszemu stowarzyszeniu nauczycieli szkół wyższych, iż samo opracowało projekt ustawy państwowej o zasadach organizacji gimnazjów austrjackich, który ma w formie petycji przedłożyć Radzie państwa, a który zadość czyni powyższemu wymaganiu, proponując obok innych punktów:

1) Ograniczenie liczby uczniów w klasach szkół średnich do 40.

3) Ograniczenie klas równorzędnych do trzech w jednym i tymsamym zakładzie, a tworzenie nowych zakładów w razie nadmiaru paralelek.

3) Termin lat 10 do przeprowadzenia powolnego powyższych postanowień.

4) Ułatwienie składania egzaminów kwalifikacyjnych nauczycielskich bez ujmy ich gruntowności przez stósowny podział tychże egzaminów.

5) Wytworzenie obok dotychczasowych typów szkół średnich, jeszcze nowego typu gimnazjów realnych, istniejącego już w przeważnej części państw europejskich, tj. typu z obowiązkową nauką łaciny, a bez obowiązkowej nauki języka greckiego. Abiturjentom swym miałyby nowe te zakłady dawać uprawnienia do studjum wszystkich kategoryj szkół najwyższych.

Każdy nieuprzedzony a znający się na rzeczy przyzna, że propozycje Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych najgruntowniej zdołałyby przyczynić się do usunięcia tych niedomagań, którym chcą cokolwiek tylko i w niedostatecznej mierze zaradzić pierwsze dwie rezolucje sejmowej komisji szkolnej.

Dodać też należy, że tak jak w jednym czasie może być nadmiar kandydatów ze studjami uniwersyteckiemi, tak znów inną razą — przypominamy tu tylko lata 1873 do 1883 — może być nadmiar kandydatów ze studjami technicznemi.

Nietylko jednej ale i drugiej dysproporcji zaradziłoby najskuteczniej utworzenie gimnazjów realnych nowego typu.

Ze względu na to, że bądź co bądź dłuższego jeszcze czasu będzie potrzeba, nim ustawa odpowiednia dla zasad organizacji gimnazjów będzie mogła zostać wydaną, udali się ojcowie i opiekunowie dziatwy szkolnej, we wieku uczniów szkół ludowych będącej, w petycji opatrzonej trzystu z górą podpisami do Sejmu krajowego, o założenie lub przyczynienie się i spowodowanie założenia w Krakowie gimnazjum realnego nowego typu.

Petycja ta nie została jeszcze — o ile nam wiadomo — załatwioną. Załatwienie jej zaś w duchu żądań petentów, popierających życzenia Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, byłoby bardzo praktycznym krokiem naprzód ku uporaniu się z piekącą kwestją niedomagań naszych szkół średnich.

Co do punktów 3), 4) i 5) rezolucji sejmowej komisji szkolnej, nie od rzeczy będzie dołączyć kilka fachowych wyjaśnień.

Gorąco życzyćby należało, aby nauka religji była przedmiotem egzaminów dojrzałości, ale tylko w tym wypadku, gdyby egzamina te w całości zreformowano, co znów musiałoby być połączonem z reformą samychże studjów. Tak jak jest dzisiaj, wymaga zdanie egzaminu wbrew zasadom, zawartym we wstępie do zarysu organizacyjnego gimnazjów austrjackich z roku 1849, zazwyczaj nader mozolnego osobnego przygotowania. Dopiero z całkowitą zmianą obecnych stosunków pod tym względem, możnaby bez dalej jeszcze idącego przeciążenia abiturjentów wcielić, jak tego słusznie domaga się komisja szkolna, naukę religji do przedmiotów egzaminów dojrzałości. Możliwy sposób dokonania tej zmiany wskazuje szczegółowo projekt zarysu austrjackich jednolitych szkół średnich, opracowany i wydany w Krakowie w roku 1893 przez komitet Koła krakowskiego Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

Nauka historji kraju rodzinnego zajmowała w pierwotnym planie naukowym zarysu organizacyjnego z roku 1849 w nauce historji powszechnej poczesne miejsce. Późniejsze wydania planów naukowych dla gimnazjów ograniczały to jej stanowisko. Wobec tego, iż w szkołach realnych galicyjskich historja kraju rodzinnego jest dziś już obowiązkową, powinnoby się dać tę obowiązkowość i dla gimnazjów łatwo uzyskać, ale znów baczyć by należało, aby przez to nie pomnożono i tak już wielkiego przeciążenia nauką młodzieży gimnazjalnej.

Ustanowienie lekarzy szkolnych jest w galicyjskiej ustawie krajowej dla szkół realnych przewidziane, ale w praktyce nie weszło dotychczas w życie. Projekt ustawy państwowej dla gimnazjów austryackich, opracowany przez Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, żąda kategorycznie ustanowienia lekarza szkolnego przy każdym zakładzie, a komisja Koła krakowskiego tegoż Towarzystwa wypracowała nadto w r. 1901 w porozumieniu z delegatami Towarzystwa lekarskiego w Krakowie projekt instrukcji dla takich lekarzy szkolnych.

Jak z powyższego krótkiego przedstawienia rzeczy wynika są życzenia naszego Sejmu krajowego, naszego nauczycielstwa i bezpośrednio interesowanych rodziców i opiekunów dziatwy szkolnej zgodne i wzajem się uzupełniające.

Należy się przeto spodziewać i na to liczyć, że jak Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych działa w duchu życzeń Sejmu krajowego, opracowując szczegółowo jego rezolucje, tak na odwrót Sejm krajowy i Delegacja nasza do Rady Państwa użyczą silnego poparcia petycjom tegoż Towarzystwa i jednozgodnym domaganiom się interesowanych ojców i opiekunów dziatwy szkolnej. W taki tylko sposób dadzą się najszybciej, najlepiej i ku ogólnemu zadowoleniu i pożytkowi załatwić ważne sprawy, dotyczące naszych szkół średnich.

K. Kunz.



Sąd rozjemczy w drodze do Morskiego Oka.

Panna Ania u wód.

HUMORESKA

SIGURDA.

Ania Kwibom była skromnie ułożoną i miłą panienką, nim została zaliczona do komitetu za-

baw w Surhali. Urody natura jej poskąpiła, dlatego też z zamążpójściem jakoś się nie kleiło, ale za to miała ładną figurę, duży zasób dobrego humoru i świadectwa z chlubnie ukończonej pensji, oraz szkoły gospodarczej, więc mama Kwibom często powtarzała swemu panu i małżonkowi, kiwając głową: „Jakoś to będzie, jakoś to będzie!“

Ale żeby przyspieszyć całą sprawę, kupiono jej nową suknię, buciki, płaszcz od deszczu, ładny kapelusz, dano do ręki 250 koron gotówką i wysłano swój skarb z ciocią Axelson i jej córeczką do Surhali, niezbyt wikwintnej miejscowości kąpielowej.

Papa Kwibom zastanowił się, czy nie lepiej wystawić Anię w Ramlösa, albo Ronneby, ale mama wtedy odezwała się: „W takim razie, musisz dołożyć 100 koron i kupić jeszcze jedną suknię, a zresztą do tych miejscowości przybywa tak wiele gości, że nasza kochana Ania wprost zniknie w tym tłumie. Nie, lepiej zdajmy się już na łaskę Opatrzności i spróbujmy szczęścia w Surhali — tam, może, bardziej na ustroniu, uda się jej złapać pastora, geometrę, albo podstarzałego nadporucznika piechoty, mającego w perspektywie szlify kapitańskie.

I oto Ania wyruszyła z domu rodzicielskiego z wieloma napomnieniami. Głównie zalecono jej, by postarała się o coś męskiego, nim wyda owe 250 koron. Gdyby jednak zamach udał się w drugim, lub trzecim tygodniu, nakazywano natychmiastowy powrót do domu z wybranym serca i kupno materjału na suknię dla matki z pieniędzy, pozostałych w kasie wojennej.

Panna Ania solennie przyrzekła, że skoro tylko jaki mężczyzna popełni względem niej najmniejszą nieostrożność, rzuci mu się zaraz na szyję, każe zapakować manatki i dostawi biedaka do papy i mamy, w celu otrzymania błogosławieństwa.

Kiedy Ania przybyła do Surhali, lekarz kąpielowy zbadał stan jej zdrowia i stwierdził, że życiu młodej istoty żadne niebezpieczeństwo nie grozi; zaznaczył on przytem, że jeżeli będzie odwiedzała Surhalę przez trzy lata z rzędu, może śmiało spodziewać się długiego życia, gdyby zaś choć raz wybrała się do Ramlösa, Medevi, Ronneby, albo do jakiego innego miejsca kąpielowego, stanowczo groziła jej śmierć.

Wkrótce nastąpiła znajomość z kuracjuszami i Ania miała do wyboru: porucznika z pułku halandzkiego, dwóch wolontarjuszów z wyspy Gotland, pastora kapelana, dwóch nauczycieli wiejskich i wójta z sąsiedniej gminy.

Współzawodniczki nie były zbyt niebezpieczne: karłowata modniarka z Grenny, dwie chude guwernantki, chora na mlecz córka przemysłowca i fotografistka z Falkenberga, o bardzo czarnych palcach.

I Ania niebawem napisała między innemi do papy: „Wydałam tylko 22 i pół korony, a już wszyscy za mną szaleją. Którego mam wybrać?“

Ojciec napisał odwrotną pocztę: „Zastawiaj sidła na wójta. Panowie ci wylewają całą swą brutalność na służbie, więc w pożyciu domowem mogą być znośni, co zaś do pastora, daj lepiej za wygraną, gdyż ci są tylko łagodni i mili podczas pełnienia obowiązków, natomiast w domu wylewają całą swą żółć“.

O pozostałych nie wspomniał zupełnie.

W Surhali dotąd nigdy nie było tak zwanego „komitetu zabaw“. Były tam trzy rodzaje rozrywek: podwieczorki w lesie na polance, przejażdżki koniem, wynajmowanym od organisty i oglądanie wiewiórki sklepikarza.

Pannę Anię rozrywano na wszystkie strony; łatwo więc można pojąć, jaki powstawał zamęt z powodu braku odpowiedniego organizatora zabaw. Kiedy wójt wynajął konia na spacer, panna Ania nie mogła mu towarzyszyć, gdyż obiecała z pastorem oglądać wiewiórkę, a kiedy znów wójt zaproponował Ani przechadzkę do wiewiórki, to porucznik właśnie wyprawiał podwieczorek w lesie, a kiedy wójt zapraszał na podwieczorek, panna Ania musiała odmówić, gdyż przeziębiła się na wycieczce z jednym z wolontarjuszów.

Aż nagle wzeszła nowa gwiazda na horyzoncie Surhali, bo oto pewnego dnia przybył agent Friedler i wynajął najwspanialszy pokój w pensjonacie kąpielowym, płacąc z góry za miesiąc.

Agent Friedler był młodym mężczyzną, o karbowanych włosach, posiadającym duży wybór letnich garniturów. Przy pierwszem wspólnem śniadaniu rzekł on: „Tutaj trzeba koniecznie utworzyć komitet zabaw“.

„Ach, tak!“ zawołały damy. „To zależy, czy potrafimy nadać zabawom odpowiedni ton, taki np. jak panuje w Visby“, rzekł jeden z wolontarjuszów.

„Próżności, próżności!“ mruczał pastor, ale „To wspaniała myśl“, powiedział lekarz, i na tem stanęło.

Na członków komitetu wybrano: panią kaserową Axelson, pannę Anię Kwibom, porucznika Floretta i (naturalnie!) agenta Friedlera.

Teraz nastąpił cały szereg podwieczorków, wycieczek, maskarad, wieczorków tanecznych i przedstawień amatorskich. Koń organisty nie mógł nastarczyć sił, a wiewiórka sklepikarza zastanawiała się, co uczynić mogła złego, że jej teraz już nikt nie odwiedza.

Ale panna Ania stała się postrachem całej okolicy. Raz zapragnęła mieć mantylę miejscowej pastorowej na płaszcz koronacyjny, to znów chciała pożyczyć najmłodszej córeczki organisty za anioła do żywego obrazu, a kiedy napisała drugi list do papy, ten, zamiast o spodziewanych oświadczynach wójta, wyczytał: pan Friedler i ja“, albo „ja i pan Friedler“, oraz „wyszlij, papo, stary mundur po dziadku, gdyż mamy dać kilka scen z „Nowego garnizonu“.

Papa Kwibom zaraz pożyczył sobie kalendarz handlowy i szperał w nim całą godzinę, lecz nie znalazłszy nazwiska agenta Friedlera z Söderteje, niezwłocznie napisał do córki, by wracała do domu z wójtem. Ale Ania odpisała na to coś niezrozumiałego o „głębokiej sympatji dusz“, o „sercu, które nie łatwo zmusić“ i o „żywym obrazie, przedstawiającym historję miłosną Gustawa Adolfa i Ebby Brahe, w którym pan Friedler leżał u moich nóg“.

Pan Friedler był niezmordowany w pomysłach. Pewnego razu wystawił na pastwę mrówek nogi kuracjuszów, każąc im biegać boso po leśnej polance, w przebraniu rybaków neapolitańskich, to znów zorganizował obóz cygański, albo pozdejmowawszy firanki w pensjonacie, owinął w nie pannę Anię, i ułożył ją w lesie na mchem porosłym kamieniu, twierdząc, że to „La belle au bois dormant“.

Naturalnie postanowiono również urządzić „bazar dla ubogich chorych“. Wtedy sama kasjerowa musiała ubrać się w krótką suknię, uwidoczniającą chude jej kształty. Była tam i tombola, na której wziąwszy dziesięć biletów, można było wygrać piernik. Szklanka wody kosztowała wprawdzie 30 öre, ale za to była podawana prosto z syfonu przez panią pastorową. Im brzydsze były damy dobroczynne, tem bardziej skubały panów, a żona organisty, zamężna od kilku miesięcy, była nawet zdecydowana pozwolić całować się „na korzyść ubogich chorych“, ale na to jakoś nie było amatorów; słowem — wszystko było, jak w wielkim świecie.



Arcybiskup sufragan lwowski ks. Weber.

Największą atrakcją, tak zwanym „gwoździem“ zabawy, była „Najada“. Z inicjatywy pana Friedlera, w pośrodku terenu bazarowego urządzono rodzaj basenu pod dachem, napełnionego wodą i umieszczono w nim pannę Anię, która ubrana w suknię muślinową, pluskała dokoła laską doktora. Wejście do najady kosztowało 25 öre, ale kto miał chęć poklepać ją po ramieniu, dopłacał jeszcze 50 öre.

Ale kiedy wójt dowiedział się o tym wybryku, skrycie zapłakał i tego samego dnia opuścił Surhalę.

Tymczasem pastor-kapelan zapłacił, jak wszyscy 75 öre, a powróciwszy do domu, zamknął się w swoim pokoju i powtarzał wzdychając: „Próżności, próżności!“

Pan Friedler był w wybornym humorze. Ubrany we frak i białą kamizelkę, wygłosił „swój“ poemat bazarowy, a po skończonej zabawie oświadczył się pannie Ani i został przyjęty.

Panna Ania sprawdziła zawartość portmonetki: było w niej jeszcze 47 koron i 50 öre. Cel podróży został osiągnięty — teraz ojciec będzie z niej zadowolony.

* * *

Nazajutrz doktor pozdrowił wszystkich gości kąpielowych w imieniu agenta Friedlera. Biedny młody człowiek musiał nagle opuścić Surhalę, „telegraficznie wezwany do łoża umierającego ojca, majora Friedlera“, i nie zdążył pożegnać się nawet z Anią.

* * *

Panna Ania, powróciwszy w progi rodzinne, wszystko opowiedziała rodzicom.

Papa Kwibom pożyczył sobie kalendarz państwowy, ale i tam nie było żadnej wzmianki o majorze Friedlerze. Młody agent nie dawał o sobie znaku życia.

Porucznik i dwaj wolontarjusze wkrótce zapomnieli o pannie Ani. Pastor-kapelan otrzymawszy dobry pastorat, ożenił się z córką kapitana, ale za to w sercu wójta strzała Amora utkwiła głębiej i Ania z czasem została jego żoną.

W podróż poślubną udali się państwo młodzi do Sztokholmu, gdzie pierwsze śniadanie mieli spożyć w restauracji „na Patelni“, obok zamku królewskiego. Pan wójt z zadowoleniem rozsiadł się z małżonką w cieniu drzew i zadzwonił na kelnera.

Niebawem pospieszył ku nowoprzybyłym wystrojony ganimed...

— Aj, do licha,.. — zawołał zmieszany ganimed.

— Spójrz no, Aniu — rzekł wójt, wskazując na kelnera.

— Boże! — krzyknęła pani Anna, zakrywając twarz rękoma.

Ale wystrojony ganimed zawrócił z miejsca, udał się do kredensu, trącił łokciem kolegę i rzekł:

— Drogi Blomqvist, zmiłuj się, usłuż tym tam ludziom ze wsi! To młode małżeństwo. W roku zeszłym bałamuciłem dziewczynę u wód, podczas urlopu. Będą się irytowali, jeżeli mię zobaczą.

Konstanty Bończa-Bukowski.

REKLAMA

(przez przypadki — ze wspomnień Artystki).

Talent ma wartość jeśli jest towarem
Spieniężam chętnie to, co niebios darem
Różnym — łask moich, różne stawiam ceny.
Dokąd z tem zajdę, tego nie wiem sama,
Dość — że dotarła do bram Melpomeny
Ze mną, przedemną, nademną, **Reklama.**

Ledwie scenicznych dosięgłam podwoi,
Już wielbicieli tłum w okół się roi,
Już dziennikarskie o mnie pieją wieści
Piórem, rysunkiem, wypełnione łamy
I chór pochwalny ucho moje pieści,
Lotem się wznoszę na skrzydłach **Reklamy.**

Góruję ponad Melpomeny dziatwą,
Raz wypłynąwszy, utonąć nie łatwo.
Wdzięków i pokus roztoczywszy marę,
Miłość oprawiam w artystycznej ramie
I w czary moje, widzów budzę wiarę
Dzięki nademną, przedemną **Reklamie.**

Inne tu przeszły przez szkołę i pracę
To dla mnie marność, ja czasu nie tracę
To też dyrekcja czci mnie za odwagę
Teatr na oścież roztwiera mi bramę
Widz słucha klaki i podziwia blagę,
Bo mam przed sobą, nad sobą **Reklamę.**

Wabię, przykuwam, wysysam, druzgocę,
Z moich tryumfów dla kasy owoce,
Dyrekcja zysk mój na swe dobro pisze,
Ściąga publiczność już nie sztuką samą,
Lecz ról mych zmianą, co zdobią afisze,
Dziś me nazwisko samo, jest — **Reklamą.**

Czy to jest talent? czy rzemiosła sztuka?
Czy blask, którego oko znawcy szuka?
Nie wiem — lecz czuję, że błyszczę na scenie
Że jestem słońcem, choć mnie szpecą plamy.
Nie temperament twórcą, nie natchnienie,
Lecz pracujące w mej służbie: **Reklamy.**

Marja Konopnicka.

Wielką gwiazdą literatury poromantycznej jest niezaprzeczenie Konopnicka.

Już w pierwszych chwilach jej działalności poetyckiej talent jej zwrócił na siebie powszechną uwagę; przypomnijmy sobie, że Sienkiewicz w swoich listach z Ameryki z powodu ślicznego wiersza, pomieszczonego w pierwszej serji poezji Konopnickiej, a zaczynającego się od słów: „W koło mnie otoczyły moje równie senne“, — odrazu przepowiedział poetce wielką przyszłość...

I nieomylił się w swej przepowiedni wielki powieściopisarz: Konopnicka w krótkim czasie ujęła w swe dłonie berło poezji polskiej a dzieje jej twórczości, to jeden świetny pochód trjumfu.

Nagradzana na licznych konkursach, uwielbiana przez czytający ogół, niesłychanie płodna i pracowita, przez długi czas królowała w sercach naszych niepodzielnie.

Dopiero w ostatnich latach krzykliwa, a niezasłużona reklama zapragnęła wypchnąć gwałtem na pierwsze miejsce rozmaite sztucznie wydęte wielkości i ustawiła szereg ołtarzy dla jednodniowych bogów, dla których gotowa była zrywać wieńce z posągów czczonych dotychczas jak świętość i w hysterycznych zachwytach trąbiła fanfary ku ogłuszającemu rozgłosowi nowych mistrzów pieśni, nowych wieszczów i nowej poezji...

Wśród tego hałasu i gwaru krzywda się działa niejednemu talentowi, nie jednej prawdziwej zasłudze, nie jednej twórczości, którą zagłuszano i pomijano, odbierając jej czcicieli i hołdowników, bałamucąc oszołomione tłumy i narzucając im kult dla potworzonych z dnia na dzień bożyszczy...

Po tem krótkiem słowie wstępnem przejdziemy teraz do pobieżnej oceny poetyckiego dorobku Marji Konopnickiej.

Oto leżą przedemną cztery duże, wykwintnie, lecz bezpretensjonalnie wydane tomy poezyj lirycznych, — książki, do których zaglądam z nałogu, ilekroć znużony dokuczliwemi troskami powszedniego życia, zapragnę wykąpać się w krzepiącym zdroju prawdziwego piękna.

Te cztery tomy, to olbrzymia harfa, na której drżą wszystkie struny uczuć ludzkich, zacząwszy od cichej skargi sielskiego pacholęcia — a skończywszy na głębokiej, bolesnej zadumie wpatrzonego w tajemnice przedbytu mędrca; to olbrzymia paleta z niezliczoną ilością barw, półcieni, półświateł, to skarbnica nieprzebrana, w której niepospolity duch poetki zawarł niezmierne bogactwo i w królewskiej hojności pozwala z niej braciom swoim czerpać pełnemi garściami.

Rozpatrzmy się w niej uważnie.

Twórczość Konopnickiej rozpoczęła się od prostej, ot zda się na wierzbowej fujarce wygranej piosenki, w której drgają echa rodzinnych pól, łąk i gór.

Poetka śpiewa o tych równiach sennych, które ją otaczają pasmem jednakiem, o tem słonku, co spada tak rychło za góry, chociaż na ziemi tyle jeszcze ciemnych cieni zostało, o tej wiejskiej drodze, po której z pochyloną głową chodzi w dumach i dumkach, potrącając stopą o leżący na niej a ciężki, jak łzy, kamień, o tym rodzinnym domu, co szumem swych lip wtórzy jej snom i łzy jej koi ciszą — a śpiewa tak szczerze, tak serdecznie, jakby żaden zgoła pierwiastek rozkładu nie przedarł się do jej duszy ze współczesnej kultury, jakby czuła i kochała tak, jak prostacze dziecię tego pola i tej łąki.

Następnie od natury przechodzi do ludzi... Smutna, sieroca dola kmiotka, co drżący od chłodu ros wieczornych, na nędzę swoją narzeka; rozpaczny jęk matki, której „pęka z bólu chłopskie serce"; tęsknota ubogiego parobczaka, któremu z białej chaty nie chcą dać dziewczyny — wszystko to znalazło w jej pieśni oddźwięk niezwykle żywy, niezwykle prawdziwy.

Pokrewnymi tym sielskim piosenkom i obrazkom są drobne utwory poetki, malujące ciemne strony wielkomiejskiego życia. W nich Konopnicka schodzi do suteryn, gdzie w dusznej, piwnicznej izbie chorowite dziecko tęskni do słońca i powietrza; cierpi nad dolą robotnika, który powstawszy w sobotni wieczór od maszyny, nie wie, co zrobić z tą krótką chwilą świątecznego odpoczynku i w końcu udaje się do zadymionej izby szynkownej, zstępuje nawet na dno przepaści, tam, gdzie anioły odlatują stróże, gdzie jest najkrwawsza z ran krwawych tej ziemi, i przerażeniem zdjęta, załzawionymi oczyma przypatruje się doli nędznych, ale i zarazem i najnieszczęśliwszych istot...

A w podróży tej zawsze towarzyszy jej przyjazny genjusz miłości, co nigdy nie potępi, nigdy nie przeklnie, lecz raczej z bratnią pospieszy pomocą.

Ale nie w tych obrazkach, nie w tych piosenkach drobnych należy nam szukać genjuszu Konopnickiej...

Najwybitniej występuje on w tych utworach, gdzie poetka wtajemnicza nas w dzieje własnej swojej duszy, gdzie cierpi i mówi za siebie samą. Bo o ile w poezjach, o których mówiliśmy wyżej, wielkie uczucie rozpraszało się na utulenie nędz drobnych, smutków powszednich, o tyle tutaj w pieśni jej odzwierciedla się ból całej ludzkości, której każdy genjalny poeta jest wyobrazicielem.

I oto w przepysznych „Dniach smutku" poetka daje usta wszelkim krzywdom ziemi, wszystkim nędzom i tęsknotom ducha — aby otworzyły błękitne drzwi nieba, aby tę powszechną skargę usłyszał sam Bóg.

I rozlega się wielki krzyk tęsknoty do ideału, do prawdy, dobra i piękna, do harmonji i spokoju, do powszechnej miłości i zgody...

Po tych pieśniach, które stanowią lwią część lirycznych poezji Konopnickiej, idzie szereg poematów, osnutych częścią na tematach historycznych lub podaniowych, częścią zaś na przejawach współczesnego życia.

Na pierwszem miejscu stawiam tu przepyszny szereg poetyckich ilustracji do „Wojny" Grottgerowskiej... Jest w tym fragmencie lirycznego eposu tyle potęgi, tyle grozy, tyle bladego przerażenia, że poemat ten można śmiało postawić obok „Ojca zadżumionych" Słowackiego.

Przepyszne są także jej obrazy, zatytułowane ogólnie „Hellenica". I podziwiać zaiste trzeba, jak harmonijnie łączą się w tych utworach klasyczne motywy starogreckie z bolesną myślą człowieka dzisiejszej kultury. A jakie tu widzimy bogactwo barw, jakie płomienne słońce, jaką olśniewającą biel marmurów!... Tylko jeden Siemiradzki potrafił tak malować.

Na szczególną uwagę zasługuje prześliczna „Cytara Tymona". Znacie ją pewno, szanowni czytelnicy, więc streszczać jej nie będę; chcę tylko zaznaczyć, że kto umiał w usta Tymona włożyć takie słowa, jak Konopnicka, ten jest nie tylko genjalnym, ale pieśń swoją nadewszystko kochającym poetą.

Śliczny jest także poemat z wojen Punickich p. t. „Tarcza Scypiona".

Jeszcze na wyższe szczeble natchnienia wdarła się poetka w swoich tematach biblijnych. Mojżesz jej jest dziełem, nie mającem sobie równego (naturalnie w tym rodzaju) w całej naszej literaturze. Nie mogę się tu oprzeć pokusie powtórzenia, przepysznego obrazu pojawienia się i zniknięcia Jehowy. Posłuchajcie:

Odszedł, jak przyszedł — w gromach.
Panie... Panie...
Wróć się!... Odwołaj w błyskach i piorunach
Ognistej klątwy gorejące słowo,
Które nad moją przerażoną głową
W wichrach przelata — i w płomiennych łunach
Grzmi po przepaściach niebios: „Niech się stanie!"
Wróć się, o Panie!...
Oto się oddala
Na czterech wichrach spętanych, jak konie,
W błysk, który w dłoniach dzierży, piorunowy...
A za nim chmura, jak czara z korala,
Z której ogniste węże piją, płonie
Od skier, skrzesanych złotemi podkowy!
Ucichło... Tylko pustynia łkająca
Tarza się w bólach, jako lwica płowa,
Co ma porodzić lwa, króla tych piasków;
A blade widmo umarłego słońca
W koronie swoich przygaszonych blasków,
Z grobu chmur czarnych powstaje...
Jehowa!...
Jehowa!... Wróć się!...
Cisza z burzy proga
Pan wstąpił w wiecznych błękitów swych gmachy,
I tylko w dali mdlejące przestrachy
Niosą tęczowy płaszcz Boga...

Wiejący z obrazu majestat aż dech w piersi zapiera...

I ta sama poetka, która zdobyła się na taką niemal proroczą potęgę natchnienia, — w „Willi Cycerona" skanduje, jak prawdziwy klasyk, co: „wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie, uczył się jej okrągłość zamykać w wyrazie".

Pomnikowym wreszcie utworem Konopnickiej jeat jej ostatni poemat epiczny p. t. „Pan Balcer w Brazylji".

W tej epopei emigracyjnej mamy razem zebrane wszystko to, co nam poprzednio dała już poetka rozproszone w drobnych utworach; a nadto mamy jeszcze wspaniałą architekturę olbrzymiego gmachu, w którym każda część, będąc sama przez się arcydziełem, jest jednocześnie koniecznym członem przepysznej całości, wprost organicznie z nią spojonym.

„Powiedziano gdzieś" — pisze Władysław Rabski — „że Konopnicka najpotężniejszą jest tam, gdzie śpiewa wspaniałość natury — i gdy się czyta jej opis burzy morskiej w „Panu Balcerze", wtedy pieśń ta wydaje się istotnie niby kopułą złotą na wielkiej świątyni geniuszu. A jednak im głębiej wsłuchujemy się w strofy tej epopei emigracyjnej, coraz to nowe ku niebu strzelają wieżyce — i stoimy zdumieni przed olbrzymich ku niebu".

Prawdą to jest, zaiste!... W „Panu Balcerze" wszystko jest jednakowo pięknem, wszystko żyje, zarówno natura, jak człowiek, zarówno dusza, jak materja.

Temi słowami zamykamy naszą niewyczerpującą ocenę, która jest raczej hołdem, złożonym u stóp wielkiej poetki i wyrzutem dla tych, co za tyle darów królewskich nie umieli się należycie odwdzięczyć.

Jeszcze raz powtarzamy, że czas już nareszcie zwrócić się do źródeł czystych i głębokich, czas otrzeźwieć z gorączki bałwochwalczego kultu dla fałszywych bogów, czas nauczyć się szukać piękna nie w szumnych frazesach i chorobliwem rozkiełzaniu wyobraźni, ale w szczerem i głębokiem natchnieniu.

Największy z naszych poetów nie uciekał się nigdy do kuglarskich efektów, nie szarpał nerwów, nie paczył pojęć, ale wierzył święcie, że dla poety edna tylko droga: w sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga...

I tak wierzyć powinniśmy zawsze, jeżeli nie chcemy narazić się na straszny zarzut niewdzięczności wobec tych, którzy są naszą dumą, naszą sławą...

Nie lękajmy się głosu obałamuconej mniejszości, która nam gotowa zarzucić obskurantyzm i zacofanie. Po czyjej stronie słuszność, dopiero przyszłość osądzi...

Leon R.

FRAGMENT.

O południowej godzinie,
W ogromnem jaśnieniu słońca,
Po niezmierzonej równinie
Łąk.

Idzie ma dusza tęskniąca
W dal, co w błękitnych mgłach ginie,
Szukając ulgi i końca
Mąk.

U stóp jej tęczą barw płonie
Kobierzec kwiecia bogaty;
Wiatr miodne roznosi wonie
Ziół...

Cisza... Stróż-Anioł skrzydlaty
Przez jasnych lazurów tonie
Płynie nad pola i chaty
Siół.

Tylko zdaleka... zdaleka...
Ze szczytów jodłowej góry,
Zda się, stugłosy narzeka
Chór.

I, chociaż niebo bez chmury,
Smutek je cieniem powleka.
To tak się modli ponury
Bór...

Nasze ilustracye.

* Podajemy czytelnikom naszym portrety dwóch dostojników kościelnych: biskupa sufragana przemyskiego ks. Fiszera, oraz arcybiskupa sufragana lwowskiego Webera.

Czcigodni książęta kościoła gorliwie pomagają swoim biskupom i arcybiskupom w pracy nad powierzoną ich opiece owczarnią — to też obaj ci dostojnicy cieszą się w swych dyecezjach najwyższą czcią i poważaniem wiernych.

* Z powodu odbytego niedawno jubileuszu towarzystwa technicznego, dajemy portret szanownego i zasłużonego prezesa prof. Steingrabera.

* Miłe zapewne przez czytelników naszych będzie widziany epizod ze szczęśliwego już dla nas procesu o Morskie Oko. Widok przedstawia, jak sąd w komplecie udaje się osobiście na sporne terytorjum.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.